ROK II. MAJ 1921.



FORMIŚCI

ZESZYT 5. (MIESIĘCZNIKA NR. 2).

Miesięcznik **„Formiści“,** wydawany przez modernistów polskich (formistów) wychodzi w Krakowie w dniu 5-go każdego miesiąca.

Prenumerata kwartalna (płatna z góry) **wynosi: 130 Mp.**

Zeszyt pojedynczy: 50 Mp.

Numerów okazowych nie wysyła się.

Prenumeratę oraz wszelkie pisma należy wysyłać do Administr. „Formistów“ pod adresem: Konrad Winkler, Kraków, ul. Basztowa 22.

Adres redakcji: Kraków, ul. Kremerowska 10, II. p., drzwi Nr. 13. (Godziny red. od 3—4 popołudniu).

Treść zeszytu 5-go

Reprodukcje:

Współpracownicy:

Feliks Antoniak, Leon Chwistek, Tytus Czyżewski, Henryk Gotlib, Ludgard Grocholski, Jan Hryńkowski, Bruno Jasieński, Michał Kucharski, Muhamed Hilmy Kulenović, Ludwik Lille, Ludwik Markous, Stan. Młodożeniec, Tymon Niesiołowski, Artur Prędski, Andrzej Pronaszko, Zbigniew Pronaszko, Władysław Roguski, Kazimierz Tomorowicz, Wacław Wąsowicz, Konrad Winkler, Józef Witlin, Stan. Ignacy Witkiewicz, Kamil Witkowski, August Zamoyski, Jan Zaruba, Leopold Zborowski, Jan Żyznowski. —

Wydawcy i odpowiedzialni redaktorowie:

Tytus Czyżewski i Konrad Winkler.

PAUL ELUARD.

UWIEDZENIE.

Serce obrazem jest.
Serce sposobem jest.

»...Tak wytwornym krokiem«

I raz po razie:
Dziewczyno droga,
Rozwierając palce,
Czekałaś.

Całus tam się znalazł,
Zadowolony, syty,

Z przed bardzo dawnych czasów
Wężowo jadowity.

»...Tak wytwornym krokiem«
Oddala się.

Przełożył Arm. Z.

PAUL ELUARD.

ZABAWY.

Ruchy walca są piękne
I piękne są serc wielkie odruchy.
Ulice.

W szale koło walcowało zapamiętale.
Koła, suknie, kapelusze,
Róże.

Zroszony
Gotów będzie
Kwiat, gdy bal go spodziewany dobędzie.

Przełożył Arm. Z.



ZBIGNIEW PRONASZKO. CHRYSTUS W OGROJCU.

LUDGARD GROCHOLSKI.

PORTRET PANA M. Z...

Dawno to było — tak dawno, a przecie jestem jeszcze,
i będę tak i będę — choćby przyszło.........
Noc przedświtna. Długie korytarze ulic ciemnych
szczerbate szeregi okien ślepych
a w szczerbach gdzieniegdzie krzyknie, zapłacze lub się zaśmieje
jasne oko, już albo jeszcze, tak, albo jeszcze,
wpatrzone w głąb pokoju,
wchłaniające mrok uliczny w siebie.
Skrada się powoli..... idzie..... podniesiony kołnierz.....
krew w źrenicach, w ręku nóż, na nim krew.
Rzadkie niedobitki gaszonych żarówek,
w piramidy poustawiane kawiarniane stoliki,
buduar różowy, ust rozchylenie,
oczy z pod długich rzęs patrzące,
pieszczota krótka, oficerska, świst —
rozpaczy okrzyk dziki,
stłumiony.
Zapięty żakiet — wykradziony list
prawda — prawda —
maska obojętna pudrem się przewlekła
........sssssys
choć boli, naplewat'!
takie nasze pańskie chcenie. —
śmieszek rodem z piekła.....
naplewat' — nalej wódki jeszcze!
takie nasze pańskie chcenie. —
Czkawka pijana, wewnętrzne dreszcze.....
zimno.....
dalekie, dalekie wspomnienie —
polonez posuwisty, karabeli brzęk —
psiakrew k czortu! Antek na harmonji gra!...
U-ha-ha! U-ha-ha!.....
Dawno to było... tak dawno... tak dawno.....

TYTUS CZYŻEWSKI.

Płomień i studnia

(elektro - kino - aero - dramo)

(ekran i studnia)
na ekranie — chmury — morze
dwa okręty
Na dnie zielonej studni
Rusza się akkumulator
elektryczny tańczący
propeler

DOM

(obok stojący)
Otwiera swe iskrzące okno



Dym Dym Dym
(na ekranie)
Tańczą elektro-maszyny
Tańczą elektro-światy
Słońce Słońce Słońce
(staje nad studnią)

Don Juan:

(wychodzi ze studni)
(nagi manekim elektro - trup)
: Ja uwiodłem Donnę Alvarez
zgalwanizowany manekin
elektro - trup
kobiety:
(ze studni podnosi się)
(zgalwanizowany trup)
(elektro - manekin)
(Donny Alvarez)

Donna Alvarez:

: Ja rodzę dziecko — trup —
elektro - manekin

Don Juan:

(zgalwanizowany manekin —)
(elektro - trup)
(śmieje się)
: ha ha ha ha
(z powietrza spada)

Aeroplan

(szumi propeler)
(olbrzymim magnesem)
(przyciąga)
(zgalwanizowane)
(manekiny trupy)
wszyscy zapadają się w studnię

DOM

(zamyka swe okno)



na ekranie:
dwie
pomarańczowe róże
(ze studni wznosi się)
(świecący transparent)
(napisano):
: niema w przyrodzie
żadnych praw
jest tylko wielki
mechaniczny
jeden
elektryczny instynkt
ha ha ha ha
Słońce Słońce Słońce



TYTUS CZYŻEWSKI: OBRAZ WIELOPŁASZCZYZNOWY. (1920)

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ.

ARTYSTA I ZNAWCY

PANI ZOFJI STRYJEŃSKIEJ.

Rozbemboszeni wielmoże napuszają bomby,
Bombochy wzdęte pępią rozpuczone trąby.
Mały chudzielec tykwi patyczkiem w swej szparce,
Suchą bułeczkę rozciera na metalowej tarce.
Rozbemboszył się w baczambarę chudzielec,
Patyczek — rozpuchł mu się w pałę,
Wielmoże — jako flaczki się stali w Popielec,
A bomboszki w trąbki gwiżdżą małe.

18/III. 1921.

IX. legenda z Muna Sakjiba.

Tłumaczył M. H. Kulenović.

Czytelniku! umyj ręce, umyj serce i wznieś wzrok wysoko na księżyc, bo-m Mahometanin. I słuchaj tej legendy, którą ci wypisał człowiek na zielonym jedwabiu, cierniem wyplecionym, a która od wieków rozkwita i więdnie, jak róża w dzikim ogrodzie pomiędzy krzakiem, cierniem ozdobionym.

W trzydziestym roku po urodzeniu Mahometa-Resulullah zjawiło się dziewięć chudych krów, dziwnie tępych na umyśle i dziesiąta czarna jak szatan, a mądrzejsza niż wieczność; wszystko widząca. Ludzie szanowali tę trzodę i cenili ponad własne oczy, gdyż Allah* poprzysiągł, że mu drogo zapłaci za zuchwalstwo ten, kto uczyni choćby najmniejszą krzywdę tym bydlątkom. I znalazł się Szaleniec-Niewiernik, co rozgniewał Wielkiego Allaha, gdy kochanka przyrzekła oddać swoje skarby za niesłychaną śmiałość, za którą ciężko odpokutował.

Gdy znów jasne słońce po kilkutysiącomiljonowy raz zawitało nad przebudzonym światem, ujarzmił on tych dziesięć, nietykalnych krów. Przywiązał je w odwiecznym lesie do dziesięciu dębów, które stały na chwałę Allaha. — Ptaki płakały, a on z dziką radością obalał jedną po drugiej na zalęknione kwiaty leśne. I złym nożem uśmiercał nad czarnem jeziorem, co się złowieszczo uśmiechało, pijąc krew beczących bydląt.

Kiedy ściął pierwszą krowę, wyleciał z skrwawionej szyji rajski ptak i jak kolorowy motyl krążył nad konającem ciałem.

Kiedy rościął wnętrza drugiej krowy, by ujrzeć, co w niem dźwigała, wylągnął się potworny osioł i przeraźliwie ryczał.

Wypadło gęsie jajko z krtani trzeciej krowy i z niego wyfrunął purpurowy gołąb na pozłocistych skrzydłach.

Powstał nosorożec z czwartej krowy, a z piątej zwyczajny krokodyl i poszedł podcinać zdziwione drzewa.

Szósta go nie uradowała niczem, a gdy wściekły zagładził siódmą i kopnął nogą, ocieliła mu trójnogą kozę.

Gdy pełen ciekawości rościnał ósmą i dziewiątą, znalazł tylko puste wnętrza.

A kiedy ściął dziesiąty kark z ostatniej nieboszczki krowy, czarnej jak szatan, wypłynął biały łabędź na białej jak mleko krwi.

Wtedy zmrok zaczął padać. To gniew Allaha.

Wtedy deszcz zaczął kapać. To anielskie łzy.

I wtedy ucięte, rogate łby rozpłakały się nad dolą kata-Szaleńca, gdyż wiedziały o strasznej pomście, jaką Allah postanowił uciszyć swój ból.

I wtedy taka nastała cisza, że słychać było ostatnie drgnienia dziesięciu wymarłych serc.

---

* Bóg.

Potem z czarnego jeziora wynurzył się Szatan-Iblis i rozwinął potworne, a piękne skrzydła i parsknął śmiechem, aż się niebiosa zatrzęsły i rozpękły.

I czarne jezioro jak kogut zapiało.

* * *

Zatęskniła kochanka, piękniejsza od wysmukłych sarn i zapędziła się w prastary las. Po nim pozostało popielisko i w niem miłowanie — przygwożdżone do miejsca, gdzie zginęły bogumiłe krowy.

Nosoróg wiercił mu wnętrza, osioł szarpał mięso i żarł. Rajski ptak dłubał oczy, koza targała włosy, gołąb dzióbał mózg, krokodyl miażdżył kości i rumiana dymiąca się krew nieustannie ściekała do próżnego dzbana niegdyś czarnego jeziora, co wyschło.

Zatęskniła kochanka, piękniejsza od wysmukłych sarn i zapędziła się w prastary las. I wypadła gorzko, gorzko łkając.

Jak złowieszcze białe kruki, rozeszła się czarna nowina wszędy, wszędy, a jak przeogromne, przegroźne nieba padła klątwa na Wszechmocnego Allaha-mściciela i z djablich i z motylich serc.

* * *

Przedziwny jaskrawiec wąż czołgał się poprzez pustynię i przez Arabję. To cały świat wędrował na osławione widowisko,-na czarną nowinę.

Szła najsamprzód ludzkość na garbatych wielbłądach i wszystkie stworzenia pieszo. Szły za nimi domy i świątynie i wszystkie rzeki i wszystkie góry i padoły.

Szły, szły i gdy stanęły, przed nimi, niby zamarzłe morze rospostarło się w nieskończoność nieprzejrzane popielisko. W niem Szaleniec-Kat dziesięciu chudych krów.

Tępym rogiem nosoróg wiercił mu wnętrza, a w lica wrywszy pazury, rajska ptaszyna wydłubywała oczy.

Trójnoga koza wyrywała jedwabiste włosy, jak kwiecistą zieleń, a od hyeny potworniejszy osioł szarpał i żarł dygocące mięso, jak pachnące siano.

Purpurowy gołąb, — jak dzięcioł, co czerwia szuka w spróchniałym drzewie, — usiadł na męczenniczem czole i stukał, pukał i rozbijał czaszkę i dziobał mózg. I kiedy nilowy krokodyl doszczętnie zjadał trzeszczące kości, Allah zatrzymywał śmierć i ciało męczennika odradzało się znów i niesłychane cierpienia zdwajały się każdokrotnie.

Przed taką okropnością pouciekały wszystkie gwiazdy, by nie oszaleć z grozy, jeno u szczytu błękitnego nieba Allah powiesił na śmierć wybladły księżyc, by przyświecał zwyrodniałym stworzeniom. Ogromny jeziora dzban napełnił się już rumianą, ludzką krwią i wśród niego krążył i kąpał się biały łabędź, co wypłynął na białej jak mleko krwi.

Gdy ujrzeli przybysze odwet ten straszny, a cudny — że człowiek śmiał (niby nie pan i władca) tknąć i odtajemniczać dziesięć bogumiłych krów biblijnych, licami w popiół padły biedaczyska i w głębokiej skrusze zasyłały łzawe modły skrzydlate do wielkiego Allaha, wszechmocnego. wszechwładnego i t. d. aż do wszech końca.

Gdy ten nieznany światów Pan nie słyszał i nawet nie słuchał, bo ogłuchł jeszcze przed Adama przyjściem, skomlały i błagały o zmiłowanie u śmiesznych poczwarek, co znęcały się nad katem-Szaleńcem, dumnie zapatrzonym w zadumane nieba, jak orzeł nieupokorzony, co utracił skrzydła słońcolotne. Ale zwierzęta-poczwarki dobrotliwie mrugały oczami i jak lód obojętne, nie przerywały swego rzemiosła, bo przebiegły Allah powyrywał im serca i uszczęśliwił wiecznym głodem.

Wtedy przybysze wściekli i bezwątpienia do podziwu odważni wobec głupiusieńkich upośledzieńców, poskoczyli jak żółwie, by ich roznieść w niewidoczny pył, ale nieba piorunami zagrzmiały i cisnęły, a Allah krzyknął, Wara!

Wtedy pierzchło bohaterstwo pyszałków, jak wiatrem omiatane komary, a gdy w popłochu uciekali, stanął Szatan Iblis, i zatarasował drogę. Poskromił pięściami tchórzowstwo, rozpętał zbuntowaną gromadę i napędził ku dziełu na zaklęte popielisko. Ale zapóźno, bo Allach gdzieś na księżycach ukrył popielisko, jak kameleon mieniąc się z lęku.

Wtedy chcieli ująć jako zakładnika Mahometa Resullulach, największy skarb Allacha. Znikł im i schował się w jaskini, której wejście natychmiast zasłonił wierny pająk ulotną zasłoną z leciuchnych puchów. Wśrod nich gruchała biała gołębica, karmiąc swoje niemowlęta, a dokoła latały złote, rude muchy.

* * *

Pod wonnym orzechem wśród pieśni wiosennego zmroku usnęła kochanka smutna bardzo, bardzo. Podszedł ktoś czarny, ujął za białą rękę i poprowadził przez wąwozy w gaj, gdzie pantery drzemały i papugi chichotały do rozpuku. Szepnął: »gdy wierni skończą modlitwę i będzie czas, pójdziemy kusić Mahometa i nawracać biczującego się derwisza. Osiągniemyż to? Nasze zwycięstwo!«

Był to Szatan Iblis.

Zapadła noc. Noc bez gwiazd, dziwnie zadumana i dziwnie tajemnicza.

Przez puszczę, co mu całowała święte stopy, szedł Mahomet, jak nigdy uroczysty i jak nigdy natchniony. Szedł do swej samotnej chaty, rzuconej na Arabję, jak w Saharze namiot beduina, jak w Saharze kropla deszczu.

Gdy przyszedł i uchylił drzwi, w izbie mu zajaśniał złoty świt i z oliwnej lampy potoczył się cudowny dym i wysnuł się z niego najpiękniejszy sen.

Była to kobieta i kochanka Szaleńca-Niewiernika.

Jedwabna, łabędzia postać, co by nawet i kamień skusiła.

Jej bezdenne oczy, to dwa czarodziejskie stawy-bliźnięta.

A nad niemi rozkołysane włosy, to grzechy wchłaniająca noc.

I popod niemi w rozchylonych wargach parły to zęby spragnione męskich ramion.

Jedwabna, ładędzia postać, co by i samego Allaha skusiła.

Jej nietknięte piersi-bliźnięta, cudniejsze i groźniejsze od jabłek, przez które raj utracono. I poniżej prężących się bioder uroczy, zawstydzony cień. To najświętsza zasłona największych tajemnic.

I wszystko to na wysmukłych nogach co niosą rozkosz nad rozkoszami.

Jak ognisty ogier wrony, rzucił się Mahomet i objął dym powiewny, bo ona wymknęła się i jak echo znikła. I padł z pękniętem sercem, a nad nim rozpostarł skrzydła tryumfujący Szatan i uronił łzę na jego świętą, proroczą brodę.

A Allah?

* * *

Po śmierci Mahometa Resulullach w trzecim dniu wspaniałością arcypięknych wydarzeń uwieczniła się rocznica zgonu dziesięciu chudych krów.

W południe spaliło się odwieczne słońce i wygasł ten dzień powszedni. Ozłocił się, rozżarzył się zachód. Z poza Arabji garbów zalęknionych wypłynęła olbrzymia kula płonąca i olśniła przestworze. Dokoła niej obracał się pierścień z dziewięciu, dziewięciobarwnych księżyców.

Co się stało? czy to wiatry powściekały się, czy pioruny? — pytał dygocący strach.

— Nie, nie! to hałasuje świat wesoły i roześmiany. Dzisiaj wielka uroczystość i niecodzienne święto, bo Allah będzie ścięty odpowiadał osłupiały zachwyt.

Wyzwolony Szaleniec-Niewiernik naciągnął łuk i puścił strzałę, a jak kaczor dziki runął Allah z niedosiężnych wyżyn i spadł pomiędzy zniecierpliwione zbiegowisko. Podbiegło trzech najgłupszych strusiów, złapały go za srebrzystą brodę, a on bezradny i, jak w małżeńskiem łożu dziewica zawstydzony, zerwał się i odkulał na miejsce stracenia.

Wtedy wszystko umilkło, jakby oniemiało. Nawet serc nie było słychać, jakby wymarły. Tylko dziewięćset kosów cichuteńko, cichuteńko zagwizdało śmiertelny marsz.

Błysnął mieczem kat w czerwieni, ściął Allaha pana, a na świętym, skrwawionym pniu stanął Szatan Iblis i rozwinął potworne, a piękne skrzydła i zbladł jak noc, gdy ją słońce zabieli. U jego stóp

leżał nieboszczyk szczerniały jak dzień, gdy go noc zamroczy, a nad nimi krążyło dziewięć rajskich ptaków i słuchało głosu podziemnego:

Allah zgubiony, bo nic nie kochał i nie miłował, jeno siebie bardzo, bardzo. Targał kwiaty ludzkich gniewów i śmiechów, rozkoszy i nieszczęść i niemi karmił swoje bydło jałowe. I bardzo, bardzo wygodnie drzemał w łachmanach miljonleci na ludzkich plecach przyczepiony jak polip, lub garbaty starzec z indyskich bajek, by kołysać i dźwigać jego zachcianki.

Szatan, zwycięzca, bo podzielił siebie pomiędzy was i rozkosze i z wami cierpiał.

* * *

Gdzie było popielisko, stanął las ze złotych pomarańcz. W nim zwisały miodne figi i z dojrzałych gruszek kapał słodki sok. Pośrodku kołysało się amarantowe jezioro i w niem dziesięć pięknodzióbych łabędzi.

W tym oto lesie zamieszkał Szaleniec z kochanką.

Pewnego ranka zaćmiło się słońce.

Zakukały kukułki, trwożnie zakrążyły ptaki.

Zapiały głuszce, wrzasły małpy, zachichotały papugi i zalękła się zieleń. Potem rozjaśniło się słońce, nastała cisza i padł dzień pogodny i piękny, jak nigdy jeszcze, a dwoje kochanków pieściło się wśród omamiających zapachów i wśród sennych i ociężałych róż. I goniły żółte i modre motyle wśród tysiącbarwnych kwiatów, a nad niemi krążyło dziewięć rajskich ptaków i koło nich przechadzały się pawie cudnopióre.

Wszystko było zalane słońcem i wszystko śpiewało cichy a wzniosły, dziki a szlachetny hymn nad hymnami.

Szmer. — Wypadły tygrysy. Nakarmiły się dwojgiem kochanków.

Zeszła noc. Osłupiała i zgłuchoniemiała.

Wtedy roześmiali się Szatan i Allah. Roześmiali się i rozpłakali się.

Muna Sakjib to Arab-włóczęga dziewiątego wieku. W hiszpańskim Toledzie bawił długie lata. Tamże skusił i uprowadził mniszkę do Prowansalji. Jego przyjaciel podczas jego nieobecności usiłuje uwieść mu kochankę. Gdy go odepchnęła, wydał ją w ręce okrutnej inkwizycji z bojaźni przed Muną i z zemsty. Wściekły Muna zabija biskupa, podpala kościół i wraca do ojczyzny, gdzie poniósł karę śmierci za bluźnierstwo na Allaha (Boga).

Zbiór jego legend darowała mi w Konstantynopolu Rabije Hanum. Powyższa książka jest rzadkością i nie wolno jej jawnie posiadać i publikować w świecie Mahometańskim. W tureckim języku wydał ją Achmed-Hamdi, ale ją otomańskie władze skonfiskowały, a tłumacz odsiedział w więzieniu.

Kulenowić Muhamed Hilmy.

BRUNO JASIEŃSKI.

ZemBY.

— Rapsodja. —

Zimne. Sztywne Obrzękłe.
Z oczami powleczonymi szkliwem,
Co w nocy świeci,
Kiedy zaraz za ścianą ktoś odchodzi chory.
Dziwne,
Jak bajka
Dla małych, grzecznych dzieci
W długie zimowe wieczory
Kiedy za oknem
Śnieg
Pada i pada, zasnuwając teren
Swoją dziwaczną, białą monotonją.
A z półotwartych drzwi kipiących barów
Buchają kłęby, —
Ze wszystkich kątów,
Z czarnych lupanarów,
Z suteryn
Niejednostajnie,
Urywanie
Dzwonią
Zemby..,

I te,
Co mają w sobie jakiś smęt malutki
Ostre — przeciągłe — zgrzytliwe
Zemby brzydkiej ospowatej prostytutki,
Co wraca do domu nad ranem
Zmarzła i nietknięta,
Jak pies
Z natręstwem takiej, co nie znalazła
klijenta,
Gdzieś, pod parkanem,
Czekać na cudzych wracających gości,
Na ich zjadliwe zaczepki...
A wiatr szczypie za łydki
Obleśny i lepki.
A skądś głęboko, z wnętrzności
Idzie suchy, nieprzyjemny stuk
Siekanych kości.
Wyżej i niżej.
Do — Re — Mi — Fa — Sol...
Jak dziwne, upiorne gamy
Z jednym powracającym refrenem,
Które śpiewa w salonie konającej damy
Stary półobłąkany profesor solfeggia,
Przelewają się długim powłóczystym
trenem
Szybkie, nierówne,
Rozklekotane arpeggia.

I te,
Jak drobne maleńkie pralinki
Naiwnie chrupkie,
Mdło niedokrwiste
Zęby chudej, nierozwiniętej dziewczynki,
Którą w parku
Zgwałcił 16-letni onanista
I zaraz, przerażony, uciekł pokryjomu...
A teraz siedzi sama, mocno zacisnąwszy
nogi
I trawi w sobie ogień, co ją pali jeszcze
I nie śmie wracać do domu,
Nieruchoma, jak drewno, wpatrzona
w przestrzeń,
I tylko w ciszy, jak szept złowrogi
Melodyjnie, urywanie długi,
Zemby wydzwaniają swoje bachofugi...

I te,
Łoskotnie, rozpaczliwie, dziko
Rozlegające się długo po nocy
(Może do rana...)
Zemby małego powalanego chłopczyka,
Który wpadł, bawiąc się w rynsztoku,
w kanał
I długo krzyczał pomocy
I wzywał siostry,
Zaczem,
Zmęczony płaczem
Wtulił się w czarny, oblepiony kąt
I boi się całą powierzchnią skóry.
A naokoło z skrzepłej, brudnej cieczy,
Skąd idzie zaduch i swąd,
Wysuwają łby

Czarne, obślizgnięte szczury.
Łby wielkie, płaskie...,
Tu — i tu — i tam...
I tylko w ciszy od lepkich ścian,
Rosnących w straszne, owłosione zręby,
Miarowym, suchym, twardostajnym
trzaskiem
Łoskocą zemby.

I te
Nerwowe, nierówne,
Przechodzące w przyspieszone passaże
Zemby podnieconego kochanka
W fiołkowym buduarze
Mężatki,
Kiedy drżącymi rękami
Zdziera z niej ostatnie szmatki,
A ona czeka pokorna i mała...
I przez dessous
Dotknął się rozpalonego ciała
I czuje nagły przypływ falującej chuci,
A stara się być spokojny,
Rozsznurowując ostatni bucik,
Kiedy pot mu kroplami wystąpił na
czole,
A zemby tłuką się i śpiewają
Jakieś dziwaczne barkarolle...

Na koncercie w natłoczonej sali
Blady, zdenerwowany muzyk
Tańczy palcami po klawiaturze
Dzikie gawoty szopenowskich walców
I słyszy wszędzie ten rytm
I stukot — i stukot — i stukot,
Co mu wychodzi z pod palców,
Co mu się w palcach przeplata,
Równy, monotonny, złowrogi,
Jakby dzwoniły naraz
Wszystkie zemby całego świata...
I w paroksyzmie trwogi
Zatrzaskuje straszną klawiaturę,
Która ma też stukające
Rozklekotane zemby...
I widzi nagle w tłumie, piętrzącym się
w górę,
W długie, półkolem biegnące krużganki
Po przez lorgnon'y, egrety, rajery
Z niszy parterowej loży
W uśmiechu wydekoltowanej, kochanki
Błyszczące zemby PANTERY.

Warszawa, w grudniu 1920.

STANISŁAW MŁODOŻENIEC.

List.

Laską na piasku list pisałem —
do nikogo — — tak..
smutki ciche — długorzęse —
białośpiewy gołębiowe ..

przeszedł młody zezujący —
przeszedł stary ociemniały —
nogą starł... —
stój-no stary lekkoważny — —
wróć-no młody lekkomyślny —
patrz —

smutki ciche — długorzęse —
białośpiewy gołębiowe —
ja do Boga wysyłałem —
tak...



TYTUS CZYŻEWSKI. ZBÓJNIK (1917).

ANARCHIŚCI.

w klubie pod PŁACHTĄ CZARNĄ
zgiełk.... roi się — — gwałt — hałas MAS
chaos słów — — chaos głów — — chaos rąk — —
ztamtąd — — ztąd — ciągły — ciąg — —
— — gwarne narady

z okien rzucają świstki — — —
lecą — — — opadną — — —
szarpią się o nie chłystki — — —
ten — tamten na kancie przystanie —
przeczyta — — — blady — —
— — Chryste Panie

wchodzą — wychodzą ronda —
papachy —
oczy zabłysną — znikną — — —
z lękiem każdy spogląda
i omija — — omija zdaleka
— — Jezus Marja

Koło nich bomby wiszą —
mach-ciach — mach-ciach —
w takt kroków się kołyszą —
z boku u pasa rewolwer hasa
— — jakaś ich praca czeka.

s,s,samochód. Wpadł. Siedli. Przepadł w dali.....
— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —
Wieczorem — drżąc — czytali
nadzwyczajne dodatki burżuje —
— — — — — — — — — — —

Wzdychali.



KONRAD WINKLER. PORTRET ŻONY.

*
* *

Każdy nowy a spontaniczny odruch w twórczości artycznej młodego pokolenia, ma swych zaciętych wrogów. Mają ich i formiści — między artystami i publicznością. Pierwsi — to tabetycy, którzy na swych wiotkich i słabych odnóżach, nie są już w stanie zrobić ni kroku wprzód, dlatego przeżuwając ustawicznie przeszłość — protestują przeciw wszelakim przejawom nowej sztuki = nowej myśli, gdzie widzą jedynie zagładę własnej, mizernej egzystencji. Protest przeciw wystawie naszej w warszawskiem Tow. Zachęty Sztuk Pięknych — podpisało grono *eunuchów i niedobitków artystycznych*, z których każdy nie ma i nie będzie mieć nigdy **nic** do powiedzenia. Formiści nie mają bynajmniej zamiaru polemizować z tą grupą (czytaj: zgrają), dla której zresztą ów protest, po odpowiedzi komitetu Tow. Zachęty i Tow. »Sztuka«, stał się przyczyną niebywałej kompromitacji wobec całego społeczeństwa.

Wśród publiczności zaś, jest wielu »znawców«, zresztą poczciwych i przyzwoitych mastodontów, którzy we formach nowoczesnej twórczości, widzą bezład i anarchję. Ten sposób pojmowania nowej sztuki, jest nieuniknionem następstwem dążności do zmechanizowania wszystkich objawów życia, a nawet najpotężniejszej jego emanacji: twórczości artystycznej, którą ci poczciwcy chcieliby widzieć jedynie w roli niedźwiedzia z kółkiem w nosie lub małpy przepasanej obręczą, skaczącej na kiju w takt popularnych melodji, granych przez narodowe katarynki. Lecz formiści zajęci pracą twórczą nie mają czasu na pouczanie jegomościów, którzy »narodową sztukę« widzą w obrazku przedstawiającym ułana z piką, lub conajmniej, suszące się na płocie...... narodowego bohatera. Niestety, współczesny artysta trudzi się jedynie nad rozwiązaniem formy i konstrukcji obrazu, a zagadnienia te absorbują jego siły twórcze. Tak tworzyli również Rafael, Rembrandt, Ingres i ci wszyscy, którzy w sztuce widzieli przedewszystkiem tajemnicę wieczystego piękna. Tylko nie tego piękna, co wielu znajduje w dekoltażach pięknych, portretowanych grzesznic. Ci ostatni zresztą będą na starość woleć pornograficzne fotografje. — Tacy niech nie chodzą na wystawy formistów.

Konrad Winkler.

10 czerwca r. b. ukaże śę **Jednodńuwka futurystuw mańifesty futuryzmu polskiego wydańe nadzwyczajne na całą Żeczpospolitą Polską** zawierająca: Manifesty w sprawie natyhmiastowej futuryzacji żyća, poezji, teatru, krytyki, ortografji i t. p, ostatnie poezje **Tytusa Czyżewskiego, Brunona Jasieńskiego, Stanisława Młodożeńca, Anatola Sterna**, autokrytyki wielkih futurystuw, artykuly dotyczące wszystkih dźedźiń żyća i sztuki.

Cena egzemplarza mk. 20.

Do nabyća we wszystkih księgarńah, biurah dziennikuw i u roznośićeli.

Nakładem Firmy Gebethnera i Ski w Krakowie wyszły poezje **Tytusa Czyżewskiego** pt.: „Śmierć Fauna", „Zielone oko" „Elektryczne wizje" i są do nabycia we wszystkich księgarniach. — W przygotowaniu: „Noc i dzień", „Osioł i słońce w metamorfozie".

Konrada Winklera „Formizm na tle współczesnych kierunków w sztuce". (Nakładem księgarni D. E. Friedleina w Krakowie) i jest do nabycia we wszystkich księgarniach (Str. 100 z licznemi reprodukcjami).

Nowe utwory muzyczne **Michała Kucharskiego**: Op. 5, Trzy pieśni: „Żal", „Ten wiatr, ten wiatr" i „Ogrodniczki". we wszystkich księgarniach do nabycia.

Nakładem klubu futurystów „Katarynka" wyszły poezje: **Stanisława Młodożeńca**: „Kreski i futureski" i **Brunona Jasieńskiego**: „But w butonierce". — Do nabycia we wszystkich księgarniach.

W najbliższych zeszytach naszego pisma, ukaże się szereg utworów poetyckich oraz reprodukcyj z dzieł najmłodszej sztuki zagranicznej.

- DRUKARNIA -
PRZEMYSŁOWA
W KRAKOWIE.